

***Artyści nietrzeźwi. Upodobanie do alkoholu wśród elit II RP***



NAC/

*"Czy widział kto kiedy poetę trzeźwego?" - pytał Jan Kochanowski. I zaraz tłumaczył, że "nie napisze taki nic dobrego". Artyści epoki międzywojennej stosowali się do tej maksymy.*

*Alkohol lał się strumieniami, do abstynentów trudno było zaliczyć literatów, plastyków czy aktorów. Pili praktycznie wszyscy. Ferdynand Goetel (prezes polskiej sekcji Pen Clubu!) organizował cykliczne spotkania w swoim mieszkaniu, a imprezy zawsze odbywały się według identycznego scenariusza. Gości (największych luminarzy polskiej kultury!) zapraszano na godzinę 8 wieczorem, a zakończenie libacji przewidywano już w godzinę (!) później.*

*"Pito wyłącznie najlepsze francuskie koniaki - notował zgorszony pianista Roman Jasiński - i to tak szybko, jak gdyby przyjęcie odbywało się w czasie postoju pociągu na dworcu kolejowym. O żadnej normalnej konwersacji nie było nawet mowy, co przecież nie oznacza, by pito i zakąszano w milczeniu. Panowała atmosfera jakiegoś rejuwachu, z każdą minutą rosnącego i przybierającego coraz gwałtowniejszą formę. Po godzinie wszyscy byli już mocno zalani, tak że następne pół godziny poświęcano [...] na szukanie pałt, kapeluszy, picie 'strzeziennego', pożegnalne śpiewy, zwykłe pijackie ryki".*

*Karol Szymanowski nadużywał alkoholu praktycznie do końca życia. A kiedy już ciężko chory na gruźlicę trafił do jednego z sanatoriów, przemycano mu do pokoju butelki koniaku. Miał jednak problemy z usuwaniem pustych opakowań, zatem wyrzucał je w ogromną zaspę śniegu pod oknem. Jednak nawet w Alpach zdarzają się załamania pogody i gdy przyszła niespodziewana odwilż, musiał tłumaczyć się przed lekarzami z powodu sterty butelek pod oknem.*

### **Skamander i procenty**

*Skamandryci prowadzili rozrywkowy tryb życia, a szczególnie imprezowali podczas podróży po kraju. Dobrze pamiętano ich wizyty we Lwowie, gdzie "piło się na umór, szmpanskoje z koniakiem", za pomocą "szklanek, kufli i cukiernic". Ekscesy zdarzały się nawet w statecznym Poznaniu, a impreza na powitanie wiekowego już Stanisława Przybyszewskiego przerodziła się w zwykłą pijacką burdę:*



Stanisław Przybyszewski fot. NAC

*"Odkryto się w pracowni Szmaja - opowiadał Kazimierz Wierzyński. - Wzdłuż jednej ściany stała tam potężna bateria butelek, która mogłaby położyć cały pułk. Przybyszewski zjawił się z żoną Jadwigą. Wydawał się starszy nad swój wiek, mówił zachrypniętym szeptem. Gdy wzniesiono pierwszy toast (wódka Kantorowicza), pani Jadwiga odpiła mężowi pół kieliszka i na tym miało się skończyć. Mój Boże, który nie znasz poznańczyków! W rezultacie skończyło się na największym pijaństwie, jakie w życiu widziałem. Wyszliśmy od Szmaja nad ranem i ruszyliśmy pochodem przez miasto, wiwatując na cześć Przybyszewskiego, który już wówczas zupełnie zaniemówił. Chodziłem wtedy z grubą laską, prezentem od Tuwima. W pewnej chwili laskę wyrwał mi Adam Bederski, przedwcześnie umilkły poeta, awangardzista ekspresjonistyczny [...]. Zanim zdążyłem zorientować się, co się dzieje, Bederski rozbił laską jakieś okno wystawowe, które rozsypało się z dzikim hałasem. Jak z podziemi wyrosła władza. Zostaliśmy otoczeni przez patrol żandarmerii. Powitalnej imprezie groziło, że okryje się hańbą. Ale nagle władza wyprężyła się na baczność przed oficerem, który też wyrósł jak z podziemi. Był nim porucznik żandarmerii i również poeta, Zenon Kosidowski. Uratował on honor uroczystości, literatury i władzy. Pochód został rozwiązany, państwo Przybyszewscy odstawieni do domu, uczestnicy się rozeszli".*

*W hucznych libacjach uczestniczyli również przedstawiciele sfer finansowych,*

bratając się z artystami. Swoista symbioza obu środowisk trwała przez niemal cały okres II RP i wspólnie bawiono się znakomicie. "[...] kiedyś, w apoteozie warszawskiej bohemy - wspominał Jan Lechoń - w pierwszych latach niepodległości - towarzystwo dobrze już przyrządzone podrzucało na wiwat któregoś z Pfeifferów [rodzina warszawskich przemysłowców - S.K.] - nie pamiętam już Józefa czy Bolesława. W rezultacie gość uderzył nogą o kant trotuaru i złamał goleń. W strasznych mękach zabrano go dorożką do domu, dokąd wezwano chirurga, aby włożył nogę w gips. Władek Pfeiffer, król cyganerii burżujskiej, zażądał jednak, aby zabrać z sobą również sławny kwartet Różewicza. Co też uczyniono i podczas kiedy wyjącemu z bólu pacjentowi reperowano to złamanie - w przyległym pokoju Jaś Różewicz rznął rzekomo dla ulżenia jego cierpień 'A ta przepióreczka!'"

### **Indyczka, wódka i trumna**

"Wydaje mi się, że artystów-alkoholików (i artystów-potencjalnych kandydatów na alkoholików) - uważał karykaturzysta Zbigniew Czermański - trzeba przyjąć z całym ich obciążeniem. Bo ile i jak pijacka mania w ich twórczości nabroiła i broi, w tym się nikt nie rozezna".

Postrachem wielu lokali był duet plastyków - Kamil Witkowski i Kazimierz Grus (mąż Mai Berezowskiej). Dobrze znali ich właściciele knajp, a jeszcze lepiej służby porządkowe. W Warszawie Witkowski miał zwyczaj przychodzić do warszawskiej kawiarni Kresy z kaczką Leokadią, którą z czasem zamienił na indyczkę. Z Kresów ostatecznie go wyrzucono, wobec tego pojawiał się w pobliskiej cukierni Bliklego. Tam też po raz pierwszy zobaczył go Czermański:

"[...] od razu mogłem przekonać się, że to nie byle jaki typ pijaka, bo Witkowski wszedł do cukierni z indyczką, którą prowadził na długiej, kolorowej wstążce. Usiadł przy stole [...], posadził indyczkę na krześle i zamówił dwa razy po pół czarnej. Indyczka wydawała z siebie głośne dźwięki.

- Marianno - mówił Witkowski - ja cię rozumiem, ale nie denerwuj się. Ci, co tu siedzą wkoło nas, też są ludzie. Brzydcy, bo brzydcy i hałaśliwi, ale ludzie. Bądź grzeczna i wypij kawę, bo inaczej nie dostaniesz wódki".

W restauracji Lijewskiego, której ozdobą było "olbrzymie akwarium, które służyło za bazę przeznaczonych na patelnię szczupaków, karp i sandaczy", Witkowski rozebrał się do naga i odbył w nim kąpiel. A następnie odmówił rozmowy z wezwanym policjantem, twierdząc, że wylegitymować go może wyłącznie funkcjonariusz jednostki rzecznej...

"Witkowski miał [oryginalne] pijackie zwyczaje - kontynuował Czermański. - Wracając do domu nad ranem, krzyczał na schodach z całego gardła:

- Rodacy! Na Boga! Do broni! Do korda!

Ci mieszkańcy, którzy go jeszcze nie znali, przerażeni otwierali drzwi i pytali:

- Co się stało?!

- Stała się rzecz straszna! Wróg u bram miasta! Do broni!

Wytoczono wreszcie Witkowskiemu sprawę sądową za zakłócanie spokoju.

- Dlaczego pan budzi po nocach swoich sąsiadów? - pytał sędziego.

- Budzę ich, bo czuwam nad tym - odpowiedział Witkowski - żeby rany rodakom nie zablizniły się błoną podłości, jak powiedział nasz wódz duchowy, Stefan Żeromski!".

Sędzia nie podzielał jednak patriotycznych uniesień Witkowskiego i ukarał go grzywną. Zdenerwowany malarz pił przez resztę dnia, aż wreszcie nad ranem odwiedził swojego przyjaciela, także plastyka, Kazimierza Grusa. Obudził go i wyznał, że został skazany za swój gorący patriotyzm.

"Grus wyskoczył z łóżka, rozwarł drzwi i na cały dom krzyknął:

- Ziemianie województwa warszawskiego! Stała się straszna niesprawiedliwość! Postronnego człowieka tyrański urzędnik pognębił! Rodacy! Mury Rzeczypospolitej rysują się! Precz z absolutum dominium! Do broni!".

Grus specjalnie nie różnił się od swojego kumpla. Ten człowiek posiadał dziwną moc przyciągania nieznanym sobie ludzi, którzy całymi dniami włóczyli się z nim po lokalach i płacili za trunki. A Grus niezmordowanie pił i przemawiał, a mową był znakomitym. Gorzej, że nie istniały dla niego tematy tabu, w efekcie czego naraził się policji i właścicielom knajp w całym niemal kraju. Zdesperowany pojechał wreszcie do teścia do Nowego na Pomorzu, gdzie oczywiście doszło do kolejnej afery.

"Któregoś dnia, wałęsając się po miasteczku w poszukiwaniu rozrywki, zajrzał na plebanię i nie zastawszy proboszcza, upił przyniesioną flaszką wódki młodego kleryka. Na samo wspomnienie tego, co się potem działo, skóra cierpła mieszkańcom Nowego. Obaj wyszli na rynek. Młody kleryk krzyczał:

- Piwa!

- Dobrze - powiedział Grus. - Będziemy pić piwo, ale deszcz pada. Wróćmy więc na plebanię po parasol.

Zamiast na plebanię weszli do kościoła, a po chwili wyszli pod baldachimem. I zataczając się, przeszli przez rynek do piwiarni. A stamtąd do domu trumniarza. Grus upił trumniarza do nieprzytomności i ułożywszy go w trumnie, wystawił w oknie przy zapalonych gromnicach. Tego samego wieczora, ścigany przez policję i lud miejscowy, uciekł z Nowego i długo nie mógł się tam pokazać".

### **Pod Tatrami**

Tytus Chałubiński, lekarz z zawodu, a przyrodnik z zamiłowania, w drugiej połowie XIX w. "odkrył" Zakopane. Jego zdaniem miejscowy klimat był idealny dla chorych na płuca, natomiast dzika tatrzańska przyroda miała przyciągnąć wielbicieli turystyki górskiej.

*"[...] zrobił reklamę, jakiej Sol Hurok nie powstydziłby się dla najwspanialszej gwiazdy - uważał malarz Rafał Malczewski. - Bez wątpienia kiedyś później otwarłby ktoś dostęp do Tatr - nigdy jednak nie wymyśliłby podlejszego miejsca niż Zakopane. Poza tym Chałubiński potrafił wmówić w polskie społeczeństwo, jakoby podgiewontowe osiedle było krynicą zdrowia dla suchotników, stawiające na nogi niczym tetramycyna czy inny antybiotyk, a właściwie nie miało żadnych danych na to. Zmienna aura Zakopanego kładła zdrowego w bety, halny wiatr wytracał chorych na płuca, z silniejszych robił alkoholików".*



*August Zamoyski obok swojej rzeźby na wystawie w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie fot. NAC*

*Jedną z legend Zakopanego był rzeźbiarz August (Gucio) Zamoyski. Artysta, pochodzący z bocznej linii słynnego rodu, zawsze miał pozytywny stosunek do alkoholu, a do tego był bliskim przyjacielem Witkacego. A - jak wiadomo - w towarzystwie Witkiewicza trudno było zachować abstynencję.*

*"W domku Gucia na Skibówkach spotykał się tak zwany świat artystyczny - opowiadał Malczewski. - Karol Szymanowski, malarz Gilewski, Karol Stryjeński, Jaś Pawlikowski, Witkacy itd. Witkiewicz uprawiał wówczas system pojawiania się z wybraną parą ludzi, nieznaną gospodarzom. Tym razem przybył z Madame Flakonik i Bobim, jej lubusiem. Nikt nie znał ich prawdziwego nazwiska.*

*Nie wypada pisać, co się działo potem w tym domu. Wiadomo tylko, że Bobi użarł w policzek Stryjeńskiego, że Gilewski i gościnny gospodarz wylali na spółkę Bobiego na śnieg, że nikt nie mógł utulić płaczu Flakonikowej. Działo się to nad ranem, mroźną nocą. Mimo to Bobi zaczął się w zaśnieżonym rowie i gdy kawalkada gości wracała o świcie, do down town Zakopanego, wypadł z lagą z przekopy i lunął przez plecy siedzącą w sankach Stanisławę Szymanowską, śpiewaczkę i siostrę Karola. Na drugi dzień ten i ów zerkał na Boziewicza. Nie było jednak żadnego pojedynku. Tylko tyle, że Bobi zniknął z Zakopanego, a Madame Flakonik poczęła 'chodzić' z kimś innym".*

*Nawet Jarosław Iwaszkiewicz (wysoki, postawny mężczyzna!) uznawał dawki alkoholu zbyt duże, a dla przeciętnego człowieka wydające się wręcz niewyobrażalnymi.*

*"Przyszedłem do Witkacego - wspominał Jerzy Rytard - zaproszony na pierwszą próbę portretowania. Wobec niespodziewanej wizyty pani Żeleńskiej ustalony program przyjął całkiem nieoczekiwany obrót. Gospodarz zakrzętnął się wkrótce po moim przybyciu i na stole zjawiła się butelka żytniówki oraz jakaś przekąska. Sjeść, w której całkiem czynny udział wzięła pani Zofia [Żeleńska, żona Boya - przyp. S.K.], po pewnym czasie przeniosła się do willi 'Tatry' na Skibówce, do rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego, dokąd poprowadził nas Witkacy, zaopatrzony po drodze jeszcze w dwie butle (litrowe!). Na miejscu zastaliśmy już kilka osób i groźny zapas spirytualiów. Nieprawdopodobny ten wieczór dosłownie przegalopował, niby jakiś oszalały żywioł, przez moją świadomość rozplamioną alkoholem.*

*Jak to zostało w kilka dni później obliczone, pochłonęliśmy od piątej po południu do jedenastej w nocy... pięć litrów. Brr... I stało się coś, czego potem Witkacy nie mógł absolutnie zrozumieć. Prowadziliśmy go, mianowicie, z panią Zofią pod rękę kompletnie zamroczonego. Jeszcze nigdy w życiu - jak twierdził - nie upił się tak, nawet w Rosji, w swoim słynnym pułku gwardyjskim".*

### **Libacja na kirkucie**

*Czermański poznał Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego na warszawskim Powiślu, biorąc go za przedstawiciela miejscowego lumpenproletariatu, i nie potrafił ukryć zdumienia, gdy kilka dni później zobaczył na Mazowieckiej "tego morusa znad Wisły" idącego pod rękę z Tuwimem. Gałczyński często nawet w chwilach upojenia alkoholowego zachowywał niezwykle poczucie humoru.*

*"Pewnego dnia przyszedł do mnie pijany i rozrzewniony - wspominał Włodzimierz Słobodnik. - Pogadaliśmy, napiliśmy się herbaty. [...] Było to żydowskie święto 'kuczek', na podwórzu domu, w którym mieszkałem, stały budki sklecone z desek i wałęsało się po nim pełno dzieci żydowskich. Kiedy Konstanty zataczając się, wyszedł na podwórze, rzucił dzieciom garść miedziaków, wołając:*

*- Żydzi! Żabotyński jestem! Zaprowadzę was do Palestyny!*

*Dzieci żydowskie łapały miedziaki. Na podwórzu powstał straszny rozgardiasz. Konstanty skierował się w stronę bramy wyjściowej oblepiony wprost dzieciakami".*

*Dochody Gałczyńskiego z pisania były nieregularne, a względnie stałe pieniądze przynosiły tylko korepetycje. Poeta nie byłby jednak sobą, gdyby nawet z tak prozaicznego zajęcia nie zrobił prawdziwego misterium. Słobodnik był kiedyś świadkiem, jak Konstanty wybierał się do pewnej studentki na lekcję angielskiego.*

*"[...] miał na sobie czarną pelerynę z epoki cyganerii krakowskiej i 'Zielonego Balonika', oczy przesłaniały mu niebieskie okulary, a w zębach tkwiło gumowe cygaro. Kapelusz 'artystyczny' i z fantazją zawiązany zielony krawat godnie uzupełniały jego strój".*

*Ośłupiałemu koledze wyjaśnił, że zawsze odwiedza studentkę w takim stroju. Na lekcję poszli razem i wspólnie z uczennicą pili koniak z kałamarzy, dziewczyna bowiem nie miała własnych kieliszków. A Słobodnik nie przypuszczał, że w ten sposób poznał swoją późniejszą żonę...*

*Zdarzyło się jednak, że przez dwie doby Gałczyński oddawał się nałogowi wraz z pewnym psychoanalitykiem z Berlina. Problemem było miejsce libacji, panowie bowiem zalegli w grobowcu jednego z cadyków na cmentarzu żydowskim. Biesiadnicy na zmianę chodzili po wódkę, głośno śpiewali (najczęściej finał "IX Symfonii" Beethovena), akompaniując sobie na grzebieniu. Nie reagowali na prośby obsługi cmentarza i dopiero interwencja znajomych skłoniła ich do opuszczenia kirkutu...*

### **Demony Jaracza**

*"Europa, Trębacka lub pod filarami - wspominał Jan Ciecierski. - Warszawskie życie nocne zaczynało się od małego drinka w Hotelu Europejskim i kieliszka lub dwóch wódki czystej z wermutem. Potem szło się pod 'Złotą Kaczkę' lub do 'Adrii', a kończyło się nad ranem 'U Joska' na Gnojnej lub na dworcu".*

*Znanym birbantem był aktor komediowy Władysław Grabowski. Miał zwyczaj dzwonić do Dobiesława Damińskiego, pytając, gdzie zająć stanowiska. Odpowiedź z reguły była krótka: Europa lub Trębacka pod filarami.*





*Józef Węgrzyn jako Henryk i Helena Gromnicka jako Iza w jednej ze scen przedstawienia "Mściciel" Stanisława Przybyszewskiego w Teatrze Narodowym w Warszawie. Marzec 1927 r. fot. NAC*

*Józef Węgrzyn pił nawet zwykły bimbler, którym częstowali go dorożkarze. Złośliwi zauważali, że ma szlachetniejsze nazwisko niż trunki, które pijał (faktycznie raczej nie pijał tokaju). Alkohol doprowadził go zresztą do upadku. Nazywany "genialnym utracjuszem talentu" po wojnie prowadził budkę z wódką, a w końcu zapadł na schizofrenię.*

*Jeden z najwybitniejszych aktorów dwudziestolecia Stefan Jaracz znany był z zamiłowania do alkoholu i włóczęgostwa. Odwiedzał najgorsze spelunki, "gdzie w betach, w cuchnącym brudzie, odbywało się pijaństwo z chlebem i kiełbasą". W Wilnie zaginął kiedyś w czasie strasznych mrozów - znaleziono go wreszcie po kilku dniach na komisariacie na przedmieściu - brudnego, zarośniętego, o przekrwionych oczach. Do legendy przeszedł jego wyczyn w podrzędnej knajpie, gdzie udawał swojemu kompanowi, że jest aktorem. Jaracz przed zapitą publicznością wygłosił monolog z "Judasza" Tetmajera. A kiedy wycieńczony opadł na zydeł, dorożkarze jak szaleni bili mu brawo. Kiedy pojechał z gościnnymi występami do Zakopanego, nie dotarł do pensjonatu, w którym zaplanowano wieczór literacki. Znalaziono go dopiero po dwóch dniach, w pustej szopie w Kościeliskach.*

*Nieraz z powodu alkoholu zrywał przedstawienia, a już do zupełnej rozpaczki doprowadzał współpracowników podczas występów w innych miastach. "Gościenny występ Jaracza we Lwowie - opowiadał Czermański. - Radość i podniecenie wśród aktorów. Święto w teatrze. Siódma wieczorem - Jaracza nie ma. Minęły dwie, trzy godziny, reszta nocy. Jaracz nie zjawił się w hotelu. Gdzie był? Mój Boże, w rowie poza miastem! Utyłany błotem, zjawił się w mieście nazajutrz pod wieczór pod eskortą policjanta".*

*Otoczenie aktora było przygotowane na różne niespodzianki. I gdy pan Stefan zniknął kiedyś w nocy ze stojącego pociągu (!), to policja natychmiast otrzymała jego rysopis, który ułatwił odnalezienie go w podrzędnym szynku.*

*"[...] głos w wysokim stopniu chrapliwy, żywa gestykulacja oraz ulubiony jego zwrot 'Kurrrko wodna, jebał twoją duszę pies' i co najbardziej rzuca się w oczy, że tuż po każdej wódce (najwyżej 50 gramów) [...] z błyskawiczną szybkością wypija małe piwo. Rzadko pije sam, zwykle w towarzystwie jakiegoś przygodnego, świeżo poznanego człowieka, najczęściej ze sfery proletariackiej. Charakterystyczne, że lokuje się zwykle przy bufecie. Nigdy nie zatacza się".*

*Stefan Jaracz do końca życia nie uporał się ze swoimi problemami, podobnie jak wielu innych artystów czasów II RP. Jednak czy ludzi obdarzonych takim talentem można mierzyć zwykłą miarą?*

*Sławomir Koper, Historia do Rzeczy*